

Niemiecki dziennikarz odsłania kulisy decyzji Angeli Merkel o otwarciu granic w 2015 roku

Historyczne wydarzenia w ciągu kilku godzin rozegrają się przy braku obsady w urzędzie kanclerskim, a przynajmniej na mostku kapitańskim. Później otoczenie Merkel starać się będzie o zatarcie tego wrażenia – pisze Robin Alexander w książce „Die Getriebenen”, która wkrótce ukaże się po polsku nakładem Teologii Politycznej. Publikacja poświęcona kulisom decyzji o otwarciu granic dla uchodźców błyskawicznie zyskała status bestsellera w Niemczech i zdobyła szeroki rozgłos w Europie

Przeczytaj wstęp do książki

Książka dostępna w PRZEDSPRZEDAŻY w Księgarni Teologii Politycznej.

Kanclerz chce, aby ostatni dzień trudnego tygodnia wybrzmiał meczem piłkarskim. Niemcy-Polska – to decydujące spotkanie kwalifikacji do mistrzostw Europy. Pierwszy gwizdek w piątek, 4 września 2015 roku, o 20.45 we Frankfurcie. Przed ważnymi meczami Merkel śle pełne otuchy esemesy do selekcyjonaera Joachima Löwa, przybywa nawet na stadion, lecz tylko przy wyjątkowych okazjach. Mecze reprezentacji i ważne mecze Bayernu ogląda najchętniej w zaciszu, w telewizji. W jej napiętym kalendarzu czas znajduje najwyżej na drugą połowę. Za

kwadrans dziesiąta, kiedy tematy dnia w czasie przerwy schodzą na dalszy plan, Merkel może wygodnie rozsiąść się z mężem Joachimem Sauerem w berlińskim mieszkaniu naprzeciw Wyspy Muzeów i bez stresu zamknąć tydzień.

Kiedy jednak wraca wieczorem do domu, już ani sekundy nie myśli o piłce. Gdy sędzia odgwizduje koniec przy wyniku 3:1 dla Niemiec, Merkel stoi przed decyzją brzemienną w skutki jak żadna inna. Tuż przed północą otworzy granicę.

Rząd utrzymuje do dziś, że nigdy nie było otwarcia granicy, bo była ona już wcześniej otwarta jako granica wewnętrzna UE. Ale to tylko żonglerka słowna dla ukrycia faktów

Rząd utrzymuje do dziś, że nigdy nie było otwarcia granicy, bo była ona już wcześniej otwarta jako granica wewnętrzna Unii Europejskiej. Ale to tylko żonglerka słowna dla ukrycia

faktów. Uchodźcom według prawa unijnego nie było wolno przekroczyć granicy niemieckiej. Mieli pozostać na Węgrzech. Przez najbliższe pół roku do Niemiec napłynie prawie milion ludzi. Rząd podaje liczbę nieco niższą, bo pomija w statystyce migrantów ukrytych i tych, którzy udali się do innych krajów. Władze do dziś nie mają dokładnych danych.

Poprzedniego dnia kanclerz składała wizytę państwową w Szwajcarii i odbierała tam doktorat honorowy, tym razem na Uniwersytecie Berneńskim. Na zakończenie ceremonii rozmawiała z mieszkańcami kompletnie nieświadoma, że właśnie powstaje obrazek, który będzie powielany dziesiątki tysięcy razy w następnych dniach na YouTube i w sieciach społecznościowych, obrazek decydujący dla przeciwników polityki wobec uchodźców. Czterominutowy klip ukazuje uczestniczkę dyskusji mówiącą o „wielkim lęku” przed „islamizacją”. Kobieta pyta: „Jak pani zamierza chronić Europę i naszą kulturę?” Merkel odpowiada chłodno: „Strach nigdy nie był dobrym doradcą”. Poleca chodzenie na nabożeństwa i studiowanie Biblii: „Jak pani każe w Niemczech pisać wypracowania, co to są Zielone Świątki, to z tą znajomością chrześcijańskiego Zachodu coś jest nie za bardzo, tak bym powiedziała. A teraz skarżyć się, że muzułmanie lepiej znają Koran, to mi się wydaje doprawdy komiczne”. Zresztą w obliczu licznych wojen w dziejach Europy jej zdaniem „w ogóle nie ma powodów do jakiegoś poczucia wyższości”.

Merkel nigdy tak otwarcie nie powiedziała, co myśli. Uważa krytyków islamu za niewykształconych tchórzy myślących ahistorycznie. Jest to mimowolne wyzwanie pod adresem nowej prawicy w Niemczech, demonstracji Pegidy, wyborców AfD, wielu milionów obywateli, którzy w nadchodzących miesiącach mają się bać, że Niemcy się zmienią. Idźcież wy do kościoła – brzmi szorstka odpowiedź córki pastora skierowana do ruchu antyislamskiego. Nie dziwi, że w wielu miastach Republiki Federalnej podnosi się krzyk: „Merkel musi odejść!”.

Rankiem 4 września uchodźcy jeszcze nie budzą lęku, lecz głównie współczucie. Osiem dni wcześniej na austriackiej autostradzie odkryto ciężarówkę wypełnioną zwłokami. Udusiło się w niej siedemdziesięciu jeden uchodźców. Merkel zobaczyła wiadomość na komórce austriackiego kanclerza Wenera Faymanna. Wręczył jej bez słowa telefon na konferencji w Wiedniu. Całą Europę ogarnia żałoba i przerażenie. Od dwóch dni po całym świecie rozchodzi się zdjęcie Alana Kurdiego, syryjskiego trzylatka. Był na łódce, która wywróciła się na Morzu Egejskim, a jego ciało fala wyrzuciła na turecki brzeg. Europa nie mogła już znieść widoku ofiar własnego zamknięcia. W tych dniach jest to przeważające uczucie.

Nastrój ten panuje też w urzędzie kanclerskim, gdy najwęższy krąg współpracowników Merkel tak jak codziennie zbiera się o 8.30 w salce LE 7.101. „LE” jest niemieckim skrótem od „poziom kierownictwa”. Na tym piętrze rezyduje kanclerz ze swoją kierowniczką biura Beate Baumann. Niesamowity wpływ Baumann widać nawet po organizacji przestrzeni. Kierowniczka biura Gerharda Schrödera Sigrid Krampitz siedziała piętro pod nim. Baumann stacjonuje na tym samym piętrze, co szefowa. Między ich pomieszczeniami znajduje się tylko pokój zastępcy kierownika, Bernharda Kotscha.

Również szef urzędu kanclerskiego Peter Altmaier udając się na poranną odprawę musi wspiąć się po schodach albo skorzystać z windy. Ma drugie wedle wielkości po Merkel biuro w narożniku piętra kierowniczego. Eva Christiansen dochodzi z domu. Nieznany szerzej jest Michael Wettengel, szef „centralnego departamentu polityki wewnętrznej i prawnej” w urzędzie. Jak niemal codziennie zagaja rzecznik Seifert. Odczytuje przegląd prasy przygotowany przez

Tego pięknego letniego poranka po raz ostatni na długo kanclerz może zagrać ulubioną rolę optymistycznej szefowej nowoczesnego państwa niemieckiego

pracowników biura prasowego. Zwykłym torem cytuje kilkanaście nagłówków i wybrane relacje polityczne. Także surową krytykę pod adresem Merkel. Następuje dyskusja.

Co trzeba zrobić? Trzeba coś poprawić w doborze sformułowań? Może potrzebne jest dodatkowe wystąpienie Merkel?

Tego poranka w centrum uwagi jest pytanie, jak Merkel ma reagować na Viktora Orbána. Business as usual. Premier Węgier od lat próbuje wylansować się na unijnego kontrpartnera kanclerz federalnej. Merkel przepchnęła w kryzysie strefy euro zasadę, że wszystkie kraje pragnące schronić się pod unijny parasol ratunkowy, muszą przeprowadzić reformy nadzorowane przez Międzynarodowy Fundusz Walutowy. Orbán zaś nawet przed terminem spłacił kredyty, żeby wyrzucić z Węgier doradców z MFW. Merkel wymogła zawieszenie sankcji unijnych przeciw Rosji po aneksji Krymu i wojnie na wschodzie Ukrainy. Orbán demonstracyjnie zaprosił kremlowskiego władcę do Budapesztu. W kryzysie uchodźczym konsekwentnie ćwiczy opór przeciwko niemieckiej hegemonii w Europie.

Orbána i Merkel dzieli coś więcej niż konkretne kwestie. Oboje dorastali w krajach komunistycznych, oboje niezagrożeni kierują partiami rządzącymi, należącymi do Europejskiej Partii Ludowej na szczyblu UE. Ich wizje są jednak rozbieżne. Orbán rządzi jednym z najmniejszych

państw Unii. Merkel – najpotężniejszym. Czy – jak pragnie Orbán – Europa ma pozostać kontynentem chrześcijańskich państw narodowych wytwarzających samodzielnie swoje towary, w tym żywność, czy też raczej ma się stawać wielokulturową wspólnotą wartości, zajmującą dzięki innowacyjności wciąż znaczącą pozycję w zglobalizowanym świecie dzielącym się zadaniami? O to drugie zabiega Merkel.

Dla Orbána Merkel jest agentką wielkiego kapitału. Ona uważa jego rząd za europejski wariant nowego autorytaryzmu, który nie troszczy się o prawa człowieka. Orbán nie ma mocy Putina, ale może grać Merkel na nerwach. Kiedy ona usiłowała za kulisami uzyskać rozmieszczenie uchodźców w krajach Unii, on jeździł do Brukseli i tam ogłaszał: „To nie jest problem europejski. To jest problem niemiecki”.

Na odprawie dochodzi do wymiany zdań i decyzji o kontrolowanym odwzajemnieniu ciosów. Rzecznik rządu ma przypomnieć Węgrom o ich „prawnie wiążącej powinności” dbania o uchodźców, którzy tam przybyli, bo przecież kraj ten jest „częścią zachodniej wspólnoty wartości”. Seifert wygłosi te słowa w południe przed oficjalną konferencją prasową, na której trzy razy w tygodniu jest do dyspozycji korespondentów niemieckich i zagranicznych. Napomnienie Orbána jest kuksańcem w dyplomatycznym starciu państw, dla agencji jest czymś atrakcyjnym, ale bynajmniej nie sensacyjnym.

Poranna odprawa nabiera weekendowego luzu. Rzecznik wkrótce, wczesnym popołudniem, po konferencji będzie miał wolne. Szef urzędu kanclerskiego już się cieszy na uroczą wycieczkę służbową do

Szwajcarii. Przed Merkel też podróż. Na dziś w kalendarzu ma wpisane cztery odległe zakątki Niemiec.

Historyczne wydarzenia w ciągu kilku godzin rozegrają się przy braku obsady w urzędzie kanclerskim, a przynajmniej na mostku kapitańskim. Później otoczenie Merkel starać się będzie o zatarcie tego wrażenia. Dziennikarze usłyszą, jak to kanclerz z powodu przeczuć poprosi zastępcę kierownika biura Kotscha o całodniowe towarzyszenie jej. Ale to nonsens. Wierny podwładny rutynowo towarzyszy szefowej w wizytach, które ona jako kanclerz odbywa w kraju i za granicą. Jeżeli mieszają się one z podróżami Merkel w charakterze przewodniczącej partii, Kotsch nieraz – chociaż jako urzędnik nie powinien uczestniczyć w zadaniach partyjnych – trwa przy niej, ażeby być do dyspozycji podczas powrotnej drogi do Berlina.

Merkel najpierw leci do Monachium. Stamtąd wiozą ją służbowym audi do małej gminy Buch am Erlbach nieopodal Izary. Nie jest jeszcze kanclerzem uchodźców i jej polityczne losy nie rozstrzygają się w czasie tego kryzysu. Tego pięknego letniego poranka po raz ostatni na długo kanclerz może zagrać swoją ulubioną rolę optymistycznej szefowej nowoczesnego państwa niemieckiego, które ćwiczy się do sukcesu w globalizacji.

„Serwus, Angie!” – woła do niej mały chłopaczek, kiedy ona kwadrans po jedenastej zajeżdża pod zespół szkół w Erlbach. Merkel promienieje. Dzieci szkolne również, chociaż na okazję kanclerskiej wizyty odebrano im dzień wakacji. Ściśle mówiąc Merkel nie odwiedza szkoły, tylko sąsiedni garaż. Jest to „garaż MINT”, czyli sala matematyki, informatyki, nauk przyrodniczych i techniki. Ponoć to jest konieczne,

*W węgierskiej stolicy
rozgrywa się dramat. Od
tygodnia tysiące uchodźców
tłoczą się na dworcu Keleti.
Cztery dni wcześniej premier
Orbán uznaje stanowisko
Niemiec za schizofreniczne*

żeby w globalizacji
konkurować dzięki
wykształconej
kadrze. Merkel
ogląda
„innovacyjne”
projekty, na przykład
elektroniczną ptasią
budkę i zachęca
zwłaszcza
dziewczynki do
obrania w

przyszłości zawodu o profilu technicznym. Powstają śliczne zdjęcia. Oto Merkel wśród dzieci radośnie machających chorągiewkami, z burmistrzem i promiennym landratem. Ten człek nazywa się Peter Dreier i na razie nie ma bladego pojęcia, że za kilka miesięcy w desperacji wynajmie autokar i pojedzie wprost do urzędu kanclerskiego razem z pięćdziesięcioma uchodźcami, bo w jego starostwie nie ma już gdzie umieścić przybyszów. „Szkoła w Buch jest mała, ale super” – dyktuje Merkel do notatek lokalnemu dziennikarzowi.

W limuzynie natychmiast się dowiaduje, co się dzieje w Budapeszcie. W węgierskiej stolicy rozgrywa się dramat. Od tygodnia tysiące uchodźców tłoczą się na dworcu Keleti. Cztery dni wcześniej premier Orbán uznaje stanowisko Niemiec za schizofreniczne. Z jednej strony Niemcy naciskają go, żeby trzymał uchodźców na Węgrzech. Z drugiej strony fetują każdego, któremu uda się przebić do Niemiec.

Dla takiego towarzystwa Orbán nie zamierza pracować jako odźwierny. Poleca zbudować płot na granicy. I nie wysyła już pociągów uchodźcom. Ale oni o tym nie wiedzą, ciągną z przygranicznych obozów na wschodzie Węgier do Budapesztu. Kupują bilety w kierunku zachodnim, tylko że nagle przestają kursować pociągi. W urzędzie kanclerskim uważa się, że Orbán zastawił pułapkę na migrantów. Później Merkel będzie rozgłaszać, jakoby już w poprzednich dniach zastanawiała się, kiedy uchodźcy wyrwą się z potrzasku i ruszą pieszo. Już przed tamtym sławetnym piątkiem miała podjąć fundamentalną decyzję, że nie wolno nikomu pozwolić umrzeć na drogach Europy.

W rzeczywistości decyzję strategiczną dla Republiki Federalnej Merkel podejmie właśnie w piątek. Rozstrzygnięcie to można porównać nawet do decyzji Konrada Adenauera o związku z Zachodem, do polityki wschodniej Willy'ego Brandta lub do stanowczego dążenia do zjednoczenia za rządów Helmuta Kohla. Bezwarunkowe otwarcie granic w dalekosiężnym efekcie zmieni społeczną i etniczną strukturę populacji Niemiec, zrewolucjonizuje system partyjny, czasowo odizoluje kraj od Europy i doprowadzi u sąsiadów do dramatycznych przesunięć politycznych. Merkel ma podstawy postępować tak, jak postępuje. Tego jednak, co niesie ze sobą początek 4 września, nie uprawomocnia żadna debata parlamentarna, żadna uchwała rządu, żaden kongres partyjny, żadne zwycięstwo wyborcze. Merkel nawet nie opowiada się obydwu partnerom koalicyjnym. Najważniejsi współpracownicy i ministrowie są chorzy albo za granicą, ona sama musi sobie wyrobić zdanie pomiędzy publicznymi wystąpieniami i wizytami partyjnymi, w służbowym samochodzie, helikopterze, samolocie. Presja wzmagą się przez cały dzień, ale nie ma takiego momentu, żeby kanclerz rozporządzała dostateczną wiedzą i obrazem sytuacji.

W drodze na następne spotkanie Merkel mogłaby się połączyć z Orbánem. Ale tego nie robi. Przez cały dzień nie odbywa bezpośredniej rozmowy z węgierskim premierem. Merkel izolowała się od niego już wcześniej, bo on próbuje się wydzwignąć w konfrontacji z europejskim partnerem na polityce izolacji, ograniczaniu praw mniejszości i rusofilii. Reakcja Merkel jest konsekwentna: Nie będziemy rozmawiać na równej stopie.

Robin Alexander

Fragment pochodzi z polskiego tłumaczenia książki „Die Getriebenen”

Przeczytaj wstęp do książki